

MRO CZNA
SERIA

MARCIN
WROŃSKI
morderstwo
pod cenzurą





Marcin Wroński (ur. 1972) – w latach 90. związany z trzecim obiegiem literackim – publikował m.in. w artzinach „Lampa i Iskra Boża”, „Mała Ulicznica” i „Brytan OD NOWA”. Zadebiutował zbiorem opowiadań *Udo Pani Nocy* (1992), a wkrótce potem ukazała się jego pijacko-przygodowa mikropowieść *Obsesyjny motyw babiego lata* (1994). Tworzył też piosenki i skecze dla prowadzonego przez siebie kabaretu „Osoby o Nieustalonej Tożsamości”, był felietonistą i dziennikarzem radiowym, pracował jako nauczyciel, pisał książki dla dzieci. W 2007 roku opublikował pierwszy kryminał z serii o komisarzu Maciejewskim, *Morderstwo pod cenzurą*, a rok później kolejny – *Kino Venus*. Wydawnictwo W.A.B. wznawia oba te tytuły, a w 2011 opublikuje trzeci tom cyklu, *A na imię jej będzie Aniela*. Marcin Wroński ostatnio wydał głośny thriller *Officium Secretum. Pies Pański* (W.A.B. 2010); obecnie pracuje nad czwartym tomem z serii o Maciejewskim oraz scenariuszem do *Morderstwa pod cenzurą*.

Strona autorska:

www.marcinwronski.art.pl

MARCIN
WROŃSKI
morderstwo
pod cenzurą



GIANRICO CAROFIGLIO
Świadek mimo woli
Z zamkniętymi oczami
Ponad wszelką wątpliwość

TADEUSZ CEGIELSKI
Morderstwo w alei Róż

MARIUSZ CZUBAJ
21:37

RYSZARD ĆWIRLEJ
Ręczna robota

MARTHA GRIMES
Hotel Paradise
Stacja Cold Flat Junction
Hotel Belle Rouen
Pod Huncwotem
Pod Przechytzonym Lisem
Pod Anodynowym Naszyjnikiem
Pod Zawianym Kaczorem

WIKTOR HAGEN
Granatowa krew

ARNALDUR INDRIDASON
W bagnie
Grobowa cisza

JEAN-CLAUDE IZZO
Total Cheops
Szurmo
Solea

TOMASZ KONATKOWSKI
Przystanek Śmierć
Wilcza wyspa
Nie ma takiego miasta

MAREK KRAJEWSKI
Widma w mieście Breslau
Festung Breslau
Dżuma w Breslau
Głowa Minotaura

MAREK KRAJEWSKI, MARIUSZ CZUBAJ
Aleja samobójców
Róże cmentarne

JENS LAPIDUS
Szybki cash

HENNING MANKELL
Morderca bez twarzy
Psy z Rygi
Biała lwica
>>>

Mężczyzna, który się uśmiechał
Falszywy trop
Piąta kobieta
O krok
Zapora
Chińczyk
Niespokojny człowiek

ALEKSANDRA MARININA
Kolacja z zabójcą
Gra na cudzym boisku
Ukradziony sen
Złowroga pętla
Śmierć i trochę miłości
Męskie gry
Zabójca mimo woli
Płatki giną pierwsze
Czarna lista

ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI
Uwikłanie

DENISE MINA
Pole krwi
Martwa godzina
Ostatnie tchnienie

MARTA MIZURO, ROBERT OSTASZEWSKI
Kogo kocham, kogo lubię

KARINA OBARA
Gracze

HEINRICH STEINFEST
Subtelny nos Lilli Steinbeck

JOANNA SZYMCZYK
Ewa i złoty kot

MARCIN WROŃSKI
Morderstwo pod cenzurą

MARCIN
WROŃSKI
morderstwo
pod cenzurą



Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2010
Wydanie II · Warszawa 2010

Niedziela, 9 listopada 1930 roku

Listopad był całkiem ciepły, ale rano w sali gimnastycznej Wojskowego Klubu Sportowego panował ziąb jak za cara Mikołaja. Trener Szymański trząsał się z zimna, choć założył narciarski golf, grabiały też palce studentom. Liczyli, że w niedzielny poranek będą mieli całą salę dla siebie. Tymczasem połowę zajmował ring zwykle wciśnięty w róg i oparty o ścianę. Na nim od kilku minut boksowali dwaj faceci, a otwarte okno najwyraźniej wcale im nie przeszkadzało. Gdy na chwilę odskoczyli od siebie, ciężko dysząc, przypominali dwa parowozy buchające obłokami pary.

Z wyglądu obaj mieli około trzydziestu pięciu lat. Jeden, wysoki i postawny, z dokładnie ogoloną twarzą, był w samym podkoszulku, sportowych pumpach i miękkich trzewikach. Drugi, nieco niższy i cięższy, boksował w zwykłych spodniach od garnituru i znoszonych półbutach. Nie zdjął nawet krawata, tylko go rozluźnił i wcisnął końce pod koszulę w cienkie granatowe paski. Kiedy się wyprostował, studenci zobaczyli kanciastą głowę z wczorajszym zarostem i z krzywym nosem, pewnie wiele lat temu złamanym na ringu.

– No i znowu jestem mistrzem okręgu – wysapał, szczerząc się w uśmiechu, który nadawał jego twarzy sympatyczny wygląd. – Jeszcze rundka? Coś niewyspany jesteś, Stachu.

– W dzień się wyśpię. Pan nie zamyka, panie Szymański! – zawołał wyższy bokser, widząc, że skulony trener zmierza w stronę okna. – Gorąco. Niech pan lepiej powie, ile punktów wyszło.

– 36 : 20 dla pana Zygi, panie mecenasie.

– No to powtórka.

Studenci podeszli bliżej. Tak, teraz poznali twarze mężczyzn, te same, tylko młodsze widzieli nieraz na zdjęciach w korytarzu. Stali tam obok siebie, pozując z uniesionymi pięściami w rękawicach: ZYGMUNT MACIEJEWSKI – STUDENT, 1-SZE MIEJSCE, 1924, I STANISŁAW LENNERT – PRAWNIK, 2-GIE MIEJSCE, 1924. Ale na tych fotografiach nie wyglądali na rówieśników. Najwyraźniej kolejne lata nie oszczędzały Maciejewskiego, podczas gdy na jego dawnym rywalu nie odcisnęły wyraźnego piętna i tym sposobem zrównały ich wiekiem.

Właśnie obaj znów zaczęli zbliżać się do siebie. Pierwszy zaatakował Lennert. Po serii krótkich ciosów kontrolnych wprowadził mocniejsze uderzenie w korpus, ale Maciejewski przyjął cios na gardę i odciął się prawym prostym na odsłoniętą twarz. Tylko lekko zapunktował przeciwnika, jednak dawny wicemistrz okręgu cofnął się odruchowo.

– Co to było, Stachu? – spytał ze śmiechem Zyga, machając dla rozgrzewki rękami. – Chyba *forehand*, bo nie sierpowy!

Zyga doskoczył i spróbował ponownego trafienia. Jednak przeciwnik był już czujniejszy. Nie dał Maciejewskiemu okazji do zdobycia punktu, choć sam kontrataku nie próbował.

– Gong, panowie – powiedział w końcu trener Szymański. – Zamykam to cholerne okno.

Zeskoczywszy z ringu, Zyga chwilę szukał wzrokiem kapelusza, który z fantazją powiesił na słupku w narożniku. Znalazł go jednak pod deskami. Potem zabrał marynarkę i płaszcz z kozła w rogu sali. Co zdziwiło obserwujących pojedynkę studentów, Maciejewski nie wyjął z ust osłony na zęby, po prostu jej nie używał.

Tymczasem Lennert sięgnął po portfel do kieszeni spodni i wyciągnął z niego dziesięć złotych.

– Dziękuję, panie Szymański. – Przechylając się przez linę, podał banknot trenerowi.

– Eee, za dużo, panie mecenasie.

– Będzie dobrze. A my pokażemy się jeszcze na tygodniu, co, Zyga? – zapytał. – Rzucisz mi pulower?

– No, koło środy. – Maciejewski cisnął przyjacielowi zwinieyty sweter. Zdjął też jego płaszcz z kozła. – A prysznic działa, panie Szymański?

– Nie radzę. – Trener aż się wzdrygnął. – Tam to dopiero zimno jak w psiarni.

Prawnik przejechał dłonią po policzku. Zyga znał ten ruch z własnego doświadczenia. Tyle że on w ten sposób sprawdzał, czy warto się golić, i zwykle dochodził do wniosku, że jeszcze nie. Za to u Lennerta ów gest oznaczał zmęczenie albo niepewność. Gdy wszystko było w porządku, Staszek bez dotykania czuł, kiedy drobne włoski zaczynają przebijać skórę. I zaraz musiał się ogolić, robił to nawet trzy razy dziennie.

– Podwieź cię do domu, Zyga? – zapytał Lennert.

– Nie, mam służbę – skrzywił się Maciejewski. – Złapię autobus.

– Jak chcesz, ale auto czeka.

Kiedy wyszli, Szymański wsadził ręce do kieszeni spodni i skierował się ku drzwiom na zaplecze.

– Panie trenerze, a co z tym? – Jeden ze studentów wskazał zagracającą salę ring.

– Chcecie ćwiczyć, to se złożcie. O tam, pod ścianę.

*

Bordowy peugeot Lennerta ruszył w dół Lipowej. Zaczęło lekko kropić, więc Zyga postawił kołnierz płaszcza. Poszedł w przeciwną stronę, ku Ogrodowi Saskiemu. Wcale nie zamierzał łapać autobusu. Nie był szastającym forszą przedstawicielem prawnym Towarzystwa Przemysłowców jak przyjaciel, tylko skromnym podkomisarzem policji. I żałował czterdziestu groszy na bilet, zwłaszcza że do komisariatu miał piętnaście minut na piechotę.

Wmawiał sobie, że chodzenie do pracy na własnych nogach dobrze robi policjantowi na zmysł operacyjny. I chociaż na Rurach Jezuickich, tuż koło jego domu, miały pętlę „siódemka” i „ósemka”, codziennie oszczędzał osiemdziesiąt groszy, które potem z nawiązką wydawał na wódkę. A właśnie zbliżała się dobra okazja, żeby wypić w samotności na cześć odrodzonej ojczyzny. Umyślnie wziął służbę w niedzielę, żeby cały 11 listopada przespać zdrowym, pijackim snem.

Wychodząc zza rogu, omal nie zderzył się z dwiema wystrojonymi niedzielnie panusiami. Choć same śmierzdziały nafталiną, cofnęły się przed podkomisarzem jak przed brudnym pijakiem. Poprawił kapelusz. Istotnie nie wyglądał świeżo. Poprzedniego wieczoru nie chciało mu się grzać wody na kąpiel. Ale głębę miał czerwoną od sportu, nie od gorzały.

Widok paniusz zmierzających zapewne do kościoła przypominał mu, że niecałe święto narodowe spędzi w domu. Będzie musiał pokazać się na mszy dla policjantów u misjonarzy, tuż koło komisariatu. Dotąd nie znalazł dobrego pretekstu, żeby

jakoś ominąć ten niby nieobowiązkowy obowiązek. No ale zaprawi się później, do obiadu. Szkoda tylko, że kac przyjdzie rano, a nie przed nocą, gdy łatwo go zaleczyć klinem i porcją zdrowego snu.

Ale liczył na spokojną niedzielę, jeśli nawet nie dla całego Komisariatu Głównego, to przynajmniej dla Wydziału Śledczego, którym kierował. Zamierzał napić się kawy i nadgonić zaległości w papierach. Zrobić wszystko naraz, oczywiście rozrzucając akta po całym biurku, aby w poniedziałek jego zastępca, podkomisarz Eugeniusz Kraft, miał co z powrotem układać jak należy.

Maciejewski był w na tyle dobrym nastroju, że wrzucił nawet pięć groszy do puszki kwestarza przebranego za monstualną butelkę ze smoczkiem i z napisem: NA MLEKO DLA UBOGICH DZIECI. Jednak już na wysokości kościoła ewangelickiego mina mu zrzędła. W stronę placu Litewskiego śródkiem ulicy maszerował chyba cały hufiec harcerzy, wyśpiewując dziarsko *Szarą piechotę*. Prowadził ich pucołowaty instruktor z małym wąsikiem i masą odznak na mundurze, a wśród nich wyróżniał się krzyż jerozolimski z zeszłorocznego II Narodowego Zlotu Harcerzy w Poznaniu.

Zyga przypominał to sobie, bo czytał o zlocie w tym samym numerze „Expressu”, który donosił, że krakowski sąd uwolnił Aleksandra Swierżawina. „Oskarżony o morderstwo – ukarany za niezawiadomienie policji” – głosił tytuł. Zaś autor artykułu rozpisywał się o podobieństwach procesu ze słynną sprawą Janiny Borowskiej, która w 1909 roku zabiła swojego adwokata, a zarazem kochanka, jednak biegli lekarze nie zdołali wykazać, czy to nie on sam się zastrzelił.

Gdy harcerze doszli do skrzyżowania, instruktor dał komendę „na lewo marsz” i wkrótce chłopcy znaleźli się na

środku placu. Zyga wiedział, że do popołudnia będą tam ćwiczyć patriotyczne pieśni. A że komisariat mieścił się na sąsiedniej ulicy Staszica, nie wątpił, że przyjdzie mu ich słuchać, choćby nawet szczelnie zamknął okno.

Ledwie minął róg Zielonej i Staszica, jeszcze przed bramką prowadzącą na zewnętrzny dziedziniec wpadł na niego gońiec w służbowej czapce.

– Jest wreszcie pan komisarz! Wszystkich oficerów szukam. – Odetchnął i pobiegł dalej.

Maciejewski pożałował, że po drodze nie wypalił papierosa. Najwyraźniej mimo niedzieli coś się stało i zamiast odpocząć nad papierami, przyjdzie narobić wydziałowi kolejnych zaległości.

Czyżby sam marszałek postanowił odwiedzić stolicę naszego województwa?!, pomyślał z przekąsem. Choć święto idzie, wszystko możliwe.

– Czołem – przywitał dyżurnego przodownika przy wejściu. – Co się dzieje?

– Nie powiedział panu komisarzowi? – zdziwił się mundurowy, pokazując przez okno chodnik, na którym Maciejewski przed chwilą rozmawiał z gońcem. – No tak... – westchnął. – Zabili Bindera.

– Tego Bindera? – Zyga aż zdjął kapelusz.

– Tak jest, redaktora Bindera. Pan komendant bardzo zdenerwowany.

*

Naczelnny „Głosu Lubelskiego” leżał nagi na dywanie w salonie swojego trzypokojowego mieszkania przy Krakowskim Przedmieściu. A właściwie gdyby mieszkanie nie należało do niego, z początku trudno byłoby zgadnąć, czyj to trup.

Twarz wyszczerzona w nieludzkim grymasie przypominała raczej fotografię z policyjnej kartoteki przestępców niż redaktora dziennika dla prawych Polaków. W dodatku była zalana krwią, która ściekła z odciętych i wepchniętych mu w usta genitaliów. A na jego brzuchu, również krwią, morderca wypisał:

Roman Binder

6-6-6

Maciejewski podszedł do otwartego okna. Odetchnął głęboko. Widział już ofiary poharatane w złodziejskich porachunkach, rozjechane przez parowóz, wypchnięte z okna, widział dziesiątki zwłok wcale niepodobnych do ludzi, ale celowo okaleczone budziły w nim zbyt wiele złych wspomnień...

Z pobliskiego placu Litewskiego doleciały głosy harcerzy ćwiczących pieśń *Maszerują strzelcy* pod kierunkiem jakiegoś instruktora, pewnie nauczyciela muzyki.

Zyga udał, że szuka ewentualnych śladów na parapecie, potem znów odwrócił się do dwóch wywiadowców, którzy czekali na niego od kwadransa.

– To okno było otwarte? – zapytał.

– Nie, okno nie – powiedział przodownik Tadeusz Zielny, młody tajniak o tandetnej twarzy filmowego amanta i włosach szczerze posmarowanych brylantyną.

Drugi wywiadowca, starszy przodownik Witold Fałniewicz, rozglądał się cały czas i stojąc w miejscu, robił notatki ogryzkiem ołówka, który ledwie wystawał z jego grubych paluchów. Zwykle czerwona gęba Fałniewicza teraz nieco pobladła, ale podkomisarz był pewien, że nie będzie kłopotu z odczytaniem notatek. Wywiadowca wyglądał wprawdzie

topornie jak typowy masarz, ale nawet na kacu potrafił pisać wyraźniej niż ktokolwiek inny w wydziale.

– Nie dało się wytrzymać zaduchu, to otworzyłem okno – tłumaczył Zielny. – Za to drzwi były uchylone chyba całą noc. Dlatego sąsiadka zajrzała.

– No i gdzie ta sąsiadka? – mruknął Maciejewski.

– W szpitalu św. Wojciecha. – Fałniewicz odwrócił kartkę w notesie. – Marianna Ludwińska z domu Korpaczewska, wdowa. Starsza kobita, pan kierownik rozumie, serce.

– Dozorca?

– Stefan Grycz, lat czterdzieści pięć. Przybiegł, jak zaczęła krzyczeć, i to on nas wezwał. I pogotowie też, się rozumie. Nic nie widział, nic nie słyszał, nadal skacowany. Bramę zamknął wieczorem, rano otworzył.

– Nie ma pewności, czy ktoś wczoraj nie odwiedził denata, bo... jak to było... aha: do redaktora to ciągle biegali jak do jakiej panienki – przypomniał sobie Zielny.

– Że niby co? – Maciejewski jeszcze raz spojrzął na zwłoki dziennikarza. Kilka miesięcy wcześniej, zanim owdowiał, był ponoć przykładnym mężem. Choć dzieci nie mieli, fakt. – Że niby do takiej „panienki”?

– A nie, co to, to nie! – Tajniak przygładził włosy, choć przy tej ilości brylantyny, jakiej używał, nawet jeden nie miał prawa odstawać. – W żadnym razie, panie kierowniku.

Przerwali, bo z przedpokoju dobiegła ich rozmowa. Za chwilę wszedł wysoki mężczyzna przed czterdziestką, z wiecznie przyklejonym do twarzy uśmiechem, podkomisarz Stanisław Borowik, zastępca naczelnika z wojewódzkiego Urzędu Śledczego, a za nim wtaszczył sprzęt fotograf.

– Serwus, Zyga! – przywitał się przybyły. – To panowie zamawiali zdjęcie rodzinne?